

# Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez  
Gastona René.

3 (Ciąg dalszy).

Prokurator zajął się sam tą tajemniczą sprawą. On sam ani nawet nie przypuszczał znaleźć księcia przy życiu, lecz spodziewał się lada chwila wyjaśnień, któreby mu wskazały, w jakiej sferze należy szukać zbrodniarzy. Według jego mniemania, wchodziła tu w grę porzucona miłość. Na to naprowadzała go ta okoliczność, że książę znikł tuż przed ślubem. Obecnie liczył on na pogłoski, któreby mu wskazały pewien ślad, lecz nadaremnie. Właśnie rozmawiał o tem z szefem policyi, gdy ten nacisnął guzik elektrycznego dzwonka.

— Proszę poprosić „szklane oczko“ — rozkazał woźnemu. — Bez niego nic nie zrobimy — rzekł do prokuratora.

— Ten skinął tylko głową i robił dalej pewne notatki.

Tymczasem zjawiała się w biurze inna postać. Wszedł bowiem mężczyzna, mogący liczyć około 30 lat, z twarzą nad wyraz dobronudszą. Kto nie znał bliżej pana Bernarda, ten musiał go uważać za parafrana, który nigdy nikomu wody nie zamącił. Jednak pomyliłby się grubo, bo pan Bernard, któremu koledzy i złoczyńcy nadali miano „szklanego oczka“, był jednym z najsprytniejszych detektywów paryskiej tajnej policyi. Potrafił on się tak zmienić, że nawet rodzona matka byłaby go w przebraniu nie poznała.

— Mamy znowu robotę, Bernardzie — odezwał się szef, z wiele mówiącym uśmiechem. — Ale robotę ogromną!

Detektyw skłonił się lekko.

— Chodzi z pewnością o zaginionego księcia de Bligny — rzekł półgłosem, przyczem ani jeden muskuł nie zdrzął w jego spokojnej twarzy. Nawet oczy, które w chwilach niebezpieczeństwa albo w chwili wpadnięcia na trop tajemniczo błyskały, patrzyły teraz spokojnie na szefa.

— Tak, o księcia de Bligny — potwierdził prokurator. — Właśnie doniosło biuro Nr. 13, że wyciągnięto trupa księcia z Sekwany. Chcemy osobiście pospieszyć osobiście w to miejsce, a pan pewno także z nami. Chociażby bowiem istotnie znaleziono trupa, to i tak nie wiemy o mordercy.

„Szkłane oczko“ rzekł parę słów i w parę minut później wyjechał powóz z bramy pałacu sprawiedliwości. Droga do 13 ekspozytury była dość daleka, lecz gdy wreszcie stanęli na miejscu, zdał porucznik policyi szefowi krótki raport, a następnie siadł z jego polecenia na kozioł i powóz potoczył się dalej, w kierunku małego domku, stojącego nad brzegiem Sekwany. W domku, tym bowiem złożono znalezione zwłoki. Policjant, stojący na straży, otworzył im drzwi.

Domek ten był właściwie składem, w którym przechowywali rybacy stare czółna i tym podobne graty, a teraz leżały w nim zwłoki księcia, który dopiero co otaczał się takim komfortem. W pośpiechu usunięto na bok parę czółen, aby zrobić miejsce; w środku tegoż, na szerokiej desce, leżał wytwornie ubrany trup.

Prokurator z największą flegmą oglądał zwłoki; dla niego przedstawiały one teraz ciekawy przedmiot.

Lekarz policyjny, który tuż przed wyjazdem przyłączył się do nich, nasadzał spokojnie na nos złote okulary.

— Proszę tam otworzyć okiennice, abyśmy tu mieli trochę światła — rozkazał prokurator.

Policjant wybił parę desek i do izby wpłynęła smuga światła.

Od pierwszego wejrzenia mógł każdy poznać, że zwłoki leżały kilkanaście godzin w wodzie. Czarny strój balowy był przemoknięty do nitki. Nie popełniono jednak morderstwa dla rabunku, bo ciężki, złoty łańcuszek błyszczał na ciemnej kamizelce, a i brylantami sadzony zegarek tkwił w kieszeni, tylko stanął.

Prokurator spojrzął na tarczę i rzekł:

— Zegarek stanął punkt dziesiąta. W tym więc mniej więcej czasie wrzucono ciało do Sekwany. To odkrycie miało już wielkie znaczenie.

Obok trupa leżał na podłodze elegancki, całkiem przemoknięty portfel, który na górnym zewnętrznym rogu był zaopatrzony monogramem księcia.

Prokurator przebiegł wzrokiem po leżących w nim papierach, lecz widocznie nic w nich ważniejszego nie znalazł. Najcenniejszym pismem była

metryka księcia, którą zapewne chciał przedłożyć urzędnikowi stanu. Poznaczywszy poszczególne kawałki, kazał prokurator portfel wraz z całą jego zawartością zapakować i oddał go komisarzowi.

Teraz przystąpił lekarz do oględzin trupa.

Lewa ręka leżała wyciągnięta na ziemi; było na niej widać parę kosztownych pierścieni, lecz ani jednego skaleczenia; prawa ręka natomiast była w przegubie odcięta. Jednym cięciem odciął lekarz w wiadomym celu rękę.

— Będziemy mieli sposobność porównać obie części ręki! — zauważył spokojnie prokurator.

Ciało zamordowanego nie miało nigdzie zgola więcej okaleczeń, tylko głowa była zupełnie niemi zeszpecona i zmiażdżona. Było to albo skutkiem ciężkich uderzeń, które rysy zmarłego uczyniły nie do poznania, albo płynący trup dostał się pod koła parowca.

Lekarz skończył wreszcie oględziny. Nie można było wprawdzie powiedzieć nic pewnego, lecz nikt nie wątpił, że to nikt inny, tylko książę de Bligny. Całkiem tedy zbytecznie przyprowadzono tego jeszcze przedpołudnia do trupa księcia starego służy, aby tenże przekonał się, czy ubranie należy do księcia! Prokurator wydał rozkaz, aby trupa zawieźć do paryskiej morgi, jak to zwykle w takich wypadkach. Potem powróciła komisja sądowo-lekarska do pałacu sprawiedliwości.

W godzinę później zjawił się François w mordzie. Zaledwie rzucił okiem na strasznie pokaleczony trup, rzucił się ze strasznym krzykiem na kolana.

— Oto mój biedny, nieszczęśliwy pan! — zawołał.

Z wielkim tylko trudem udało się towarzyszącemu komisarzowi uspokoić go; musiał on nadto skłonić starca do szczegółowego oglądnięcia poszczególnych części garderoby; ale cokolwiek z niej zobaczył François, poczynawszy od brylantów gorsu, a skończywszy na zegarku, wszystko to wywoływało na jego usta powtarzający się okrzyk:

— Mój biedny, nieszczęśliwy pan!

Na podstawie tego stwierdzono tożsamość zwłok. Lecz mimo tego prokurator nie pozwolił ich jeszcze pochować.

Barona zawiadomiono bezwzględnie o tem, co zaszło.

Gdy urzędnik policyjny zgłosił się u barona, miał właśnie pożegnać się z nim jakiś jegomość. Był to zapewne członek jakiegoś arystokratycznego rodu, bo całe jego zachowanie wskazywało na to. Przybył właśnie dla złożenia baronowi kondolencji.

Skoro usłyszał anons służącego, chciał się natychmiast oddalić, lecz baron poprosił go, aby został, bo z pewnością zainteresują go nowe wiadomości prokuratora.

Markiz de Lerma, czterdziestoletni południowiec, skłonił się w milczeniu i cofnął się, gdy urzędnik policyjny przekroczył drzwi salonu.

— Cóż mi pan nowego przynosisz od pana prokuratora? — spytał baron, który od czterdziestu ośmiu godzin nie mógł przyjść do siebie.

Urzędnik oznajmił, że sługa księcia z całą pewnością poznał w zamordowanym trupie swego pana i że przez to identyczność nie ulega już kwestji. Nadto pozostawił prokurator baronowi do woli, jeszcze raz się naocześnie przekonać, na co on się natychmiast zgodził.

Markiz Lerma nie wtrącił się dotąd ani słowem do rozmowy, lecz teraz podszedł i rzekł:

— Jeżeli pan, panie baronie, pozwoli, to pojedę z panem do morgi! Miałem przed dwoma laty sposobność poznać w jednym z paryskich salonów księcia i mogę się zdać na moje pewne oko.

Baron zgodził się na to natychmiast. W towarzystwie zatem urzędnika udali się bezwzględnie do morgi. Podczas gdy baron, nieco zgarbiony, wszedł tam, gdzie leżał, położony na lodzie trup, markiz postępował z pewnego rodzaju ociąganiem. Zdawało się, że całe otoczenie porusza go do żywego. Bładość pokryła jego policzki, a ciemne oczy ślizgały się trwożliwie po kamiennej posadzce morgi. Wtem stanęli w przybytku umarłych. Baron oparł się ręką o stół, bo groziło mu omdlenie.

Nagle zapłonęła lampa elektryczna i równocześnie z głuchym krzykiem cofnął się baron. Z wyciągniętymi przed siebie rękoma, powtarzał raz po raz:

— Tak, to książę; niema najmniejszej wątpliwości! Chociaż nie mogę rozpoznać twarzy, to ta ręka, z połyskującymi na niej, dobrze mi znanymi pierścieniami, ten łańcuszek, a nawet te ordery, wszystko to u niego widziałem kilka godzin przed

zniknięciem! Muszę stąd wyjść, gdyż słabo mi się robi!

Urzędnik policyjny podał mu ramię i wyprowadził go z budynku.

Markiz Lerma stał wciąż jeszcze, jak skamieniały przy trupie. Wpił się formalnie oczyma w zeszpecone rysy zmarłego, a usta drgały mu osobliwie pod czarną brodą. Nagle wzdrygnął się gwałtownie.

Czy się dotknął ktoś gwałtownie jego ręki? Odwrócił głowę i gniewnym wzrokiem uderzył w twarz skromnie ubranego mężczyznę, który ci chutko wsunął się do morgi.

— Proszę mi darować — wyjąkał. — Przyślano mnie tutaj, bo i ja znałem zaginionego księcia, ponieważ należałem do jego służby.

Markiz odwrócił się, niemile dotknięty.

Cóż mógł go obchodzić dawny sługa? Chciał szybko opuścić halę, lecz jakieś niewytłómaczone uczucie kazało mu się jeszcze raz obrócić. Lecz tym razem wzrok nieznanego wydał mu się całkiem innym. Jak się ten człowiek w niego wpatrywał? Czy to może nie przebrany policjant?

Markiz wytrzymał wzrok rzekomego sługi, następnie wzruszył pogardliwie ramionami i wyszedł. Niezadługo potem odjechał powóz, unosząc go razem z baronem.

Markiz miał w istocie nie mało trudu, uspokoić na nowo wzruszonego barona. Gdy go wreszcie zegnał, rzekł z błyskiem w swych czarnych oczach:

— Czybym nie mógł dowiedzieć się jutro przed południem o stanie biednej baronówny? Pan wie, panie baronie, jakie zamiary niegdyś żywiłem. Biedny książę mnie uprzedził i ja musiałem mu odstąpić takiego szczęścia, jakim jest posiadanie Leontyny! Mimo tego mogę tylko z głęboką tęsknotą wspominać dni moich nadziei.

Baron zdawał się być głuchy na te słowa. Kiwnął tylko, zgadzając się i wszedł milcząc do pałacu.

Z bramy morgi wyszedł wkrótce „szklane oczko“ i patrząc za oddalającym się powozem, mówił:

— Nie wypuszczę tego Lermy z oka. To fizjonomia złoczyńcy; mnie nie omami jego wspaniały wygląd.

## IV.

„Szkłane oczko“ poprosił swego szefa, aby mógł na własną i sam na sam przeszukać wnętrze pałacu zamordowanego księcia; a chociaż to już raz zrobił prokurator, to jednak ten nie sprzeciwił się życzeniu Bernarda. Pozwalał on wogóle zawsze w takich wypadkach doświadczonym detektywom działać na własną rękę; a jeżeli kto, to tylko „Szkłane oczko“ mógł rzucić światło na to tajemnicze morderstwo. Był o tem zarówno przekonany prokurator, jak i szef policyi.

Trzeciego dnia po zniknięciu księcia, Bernard w liberyi, ciągnął za rączkę dzwonka w willi książęcej.

Po pewnym czasie ukazał się François i zapytał, czegoby sobie życzył.

Bernard rozglądał się ostrożnie w ulicy, oświeconej kilku latarniami, a upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wyrzekł kilka półgłosnych słów do starego sługi.

Franciszek cofnął się przerażony, otworzył jednak bramę i wpuścił detektywa.

Zdawało się, że przybycie tajnego policjanta wprawiło starego sługę w zamieszanie.

W willi pokazał Bernard staremu wiarygodne upoważnienie szefa policyi i polecenie prokuratora.

— Jeśli pan chcesz, to możesz iść spać — rzekł do starego. — Co do mnie, to zamknę się prawdopodobnie na całą noc w prywatnym mieszkaniu księcia, by tam absolutnie sam przedsięwziąć dokładne poszukiwania. Proszę się o to nie troszczyć, co robię, lub kiedy się oddalę. Proszę więc o klucze.

Franciszka zadziwiło niepomiernie takie postępowanie. Nie mógł jednak sprzeciwić się.

Detektyw kazał sobie wręczyć potrzebne klucze, wypytał krótko, gdzie leżą pokoje, zajmowane przez księcia i oddalił się, nie odezawszy się ani słowem do starego.

Franciszek potrząsł siwą głową i wszedł do swej izdebki. Oddalił on nowonajętą służbę i tylko stangret, ten sam, który zachorował w owej nieszczęsnej godzinie, znajdował się jeszcze w pałacu, a mianowicie w oficynie. Było mu już o wiele lepiej i zdanie lekarza, że John Franklin musiał mu coś wrzucić do jedzenia, z czego tenże dostał silnych kurczy, zdawało się potwierdzać.